

Sensybilistyczna
podróż przez życie
Kazimierza Głaza
(1931-2023)



Kazimierz Głaz dyskutuje podczas wystawy „When Cynik meets Sceptic”, poświęconej twórczości Andrzeja Pawlowskiego i Viktora Gad-Zajkowskiego, fot. Maya Fołtyn

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Zmarł Kazimierz Głaz – wyjątkowy Artysta – malarz, grafik, prozaik, wydawca bibliofilskich książek, twórca i praktyk sensybilizmu. Kazimierz Głaz łączył harmonijnie renesansową osobowość artysty obdarzonego wieloma talentami, z osobowością średniowiecznego twórcy poszukującego w sztuce Sacrum i kontynuującego tradycję malarstwa bizantyjskiego. Miał fascynujące życie, w którym poszczególne etapy wyzwalały się przez szczęśliwe zbiegi okoliczności, nazwane przez Głaza

„dziwnymi znakami”, za którymi ufnie podążał.

Wspominając Kazimierza Głaza, którego długie i piękne życie dopełniło się, sięgam do jego książki „Sensybilizm – o nieskończoności idei w sztuce” i trafiam na zdanie: „Artysta jako wolny ptak powinien szybować ponad czasem i przestrzenią oraz obdarowywać społeczności swym istnieniem”. Głaz wypełniał zarówno w życiu, jak i w twórczości to założenie – był wolnym ptakiem, obdarowywał innych swoją sztuką, zachwycał wszechstronną wiedzą i wrażliwością. Czuł się wyróżniony talentem, ale wyznał, że „Trzeba wiele dobrej woli, by podjąć ryzyko robienia czegokolwiek w sztuce”. Z tą świadomością poddał się fali sztuki by odbyć podróż fascynującą i osobną do źródeł Istoty Rzeczy.

Mieszkanie na 22 piętrze wieżowca przy High Parku w Toronto było przystanią, z której wyruszał w świat. Kochał podróże, jego życie było sensybilistyczną podróżą. Podróże inspirowały go do pisania dzienników i opowiadań, były okazją do poznawania ludzi, możliwością przeżycia niezwykłych wydarzeń i zbiegów okoliczności. Był czułym obserwatorem, jak przystało na twórcę sensybilizmu: „Sensybilizm to widzenie sensu tam, gdzie jest poezja dnia codziennego. Nie w tych historycznych, ale w tych małych, ledwie dostrzegalnych rzeczach, które tak często pomijamy w naszym życiu”. Sensybilizm, według definicji słownikowej, oznacza „szukanie wrażliwości przede wszystkim u

artysty, ale także u odbiorcy”. Powstanie tego ruchu intelektualnego i artystycznego przypada na lata 1956-1966, gdy Kazimierz Głaz, po ukończeniu wrocławskiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, działał artystycznie w Wałbrzychu i we Wrocławiu. W 1957 roku w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu z Michałem Jędrzejewskim i grupą przyjaciół przygotował spektakl „Sensybilizm, czyli nie wolno robić z publiczności balona” - był to pierwszy happening w Polsce. W ten sposób młodzi artyści buntowali się przeciwko formie politycznego zniewolenia i stali się prekursorami kierunków, które z podobnym założeniem pojawiły się kilka lat później.

W 1962 roku artysta wyjechał z grupą polskich artystów do Moskwy i Leningradu. Tutaj nastąpiło w podziemiach Galerii Tretiakowskiej, wielokrotnie opisywane później przez Głaza, poznanie ikon bizantyjskich. Artysta doświadczył olśnienia siłą mistyczną ikon i zdarzył się cud: „Przyciągany niezwykle dziwną siłą stanąłem, bez ruchu, przed jednym najprostszym i najbardziej ekspresyjnym obrazem. Podpis objaśniał krótko: Święty Mikołaj Cudotwórca. Patrzyliśmy na siebie oko w oko. Byłem, jak nigdy przed obrazem, całkowicie zafascynowany. Ten niewielki rozmiarami portret zaczął odpowiadać na moje pytania”. Po tym duchowym przeżyciu nastąpił zwrot w malarstwie Głaza w stronę przenikliwej syntezy tradycji malarstwa bizantyjskiego. Symbol Świętej Trójcy i krzyża zawsze obecny w jego obrazach, ma charakter głęboko duchowy, choć

sam artysta szerzej interpretował te figury: „Człowieka z rozwartymi ramionami, oczywiście czyta się jako ukrzyżowanego. Ten wizerunek jest mocno osadzony w naszej kulturze i religii. Podobny gest jest też wyrazem tańca albo radości witania drugiego”.

W 1965 roku, w czasie ogólnopolskiej wystawy malarstwa w Sopocie, seria pięciu dużych obrazów Głaza, nazwana „Impresje Moskiewskie”, nagrodzona jedną z głównych nagród wysłana została na IV Międzynarodowe Biennale malarstwa w Paryżu. Tam nastąpił drugi znak – szczęśliwy zbieg okoliczności, zmieniający życie artysty. Zwiedzający wystawę Marc Chagall zachwycił się „Impresjami Moskiewskimi”, ich syntezą formy, intensywnością koloru i jak to ujął : „siłą spokoju”. Przyznał „Impresjom Moskiewskim” swoją nagrodę Erasmus Prize otrzymaną z rąk królowej holenderskiej. Dzięki nagrodzie pieniężnej Głaz wyjechał na trzy miesiące do Paryża, po czym przyznane mu zostało wsparcie finansowe z Fundacji Michaela Karolyi i na trzy lata artysta został rezydentem fundacji na południu Francji w Vence. Było to szczególnie inspirujące i ciekawe miejsce, gdyż południe Francji stało się Mekką artystów. Mieszkali tu: Gordon Craig, Marc Chagall, Jean Dubuffet, Max Ernst, a od końca 1964 roku, przy Grand Place w Vence, rezydował Witold Gombrowicz ze swoją kanadyjską żoną Ritą Labrosse.

Na południu powstała seria „Vibrations du Midi” i „Zrytmizowane światło” – trójwymiarowe kompozycje Głaza z blachy i przezroczystego plastyku. Ale to głównie Gombrowicz i jego teatr życia jaki tworzył codziennie, wywołując rozmowy i spory, atakując, drażniąc i prowokując, stał się postacią najważniejszą dla Głaza w tym okresie. Pisarz-prowokator czuł sympatię do młodego malarza o naturze wrażliwej, refleksyjnej, chłonnej. W latach 80. Głaz opisał ten francuski etap w książce „Gombrowicz w Vence”, serdecznie wspominając mistrza. Do tego szczególnego czasu w Vence sięgnął Maciej Wojtyszko pisząc sztukę „Dowód na istnienie drugiego”, w której życie Gombrowicza i jego otoczenia, z Kazimierzem Głazem i Sławomirem Mrożkiem na czele, odtworzone zostało z opowieści goszczących tam artystów i „Dzienników” Gombrowicza. To Witold Gombrowicz właśnie zasugerował Kazimierzowi Głazowi by podążył za miłością do Kanady – poznaną w Vence Laurą Harris, Kanadyjką mieszkającą w Toronto.



Kazimierz Głaz, Essence 2019, ze zbioru Katarzyny Szrodt

W Halloween 1968 roku Kazimierz Głaz wylądował w Toronto i rozpoczął kolejny etap życia. Linię swego życia artysta nakreślił w jednym z biograficznych opowiadań: „Moje poszukiwania mógłbym podzielić na trzy okresy: Wrocław-Moskwa 1962-65; Paryż-Vence 1965-68; Toronto-Europa - stale wracając do źródeł”. W Toronto artysta zdomawia się. Realizuje oryginalny projekt, finansowany przez kanadyjską instytucję kultury - Toronto Center for Contemporary Art. W ramach programu Center for Art w szkołach odbywają się lekcje plastyki

prowadzone przez zaproszonych przez Głaza artystów, a prace tworzą szkolną kolekcję sztuki. Taki sam program działa w szpitalach. W ramach działań Center for Art Głaz wydaje albumy grafik, tworzy bibliofilskie książki, do których pisze teksty i opracowuje szatę graficzną. Powstaje kilkanaście teczek oryginalnych litografii nazwanych „Esoteric III” opartych na świetle, przestrzeni, kolorze. Dziś te czki, dzięki wysiłkom promocyjnym artysty, znajdują się w stałych zbiorach wszystkich większych muzeów świata. W tych, kształtowanych światłem ezoterycznych grafikach, sensybilizm wyraził się najpełniej. „Moja praca składa się z dwóch części - z tej, którą namalowałem i z tej, której nie namalowałem i ta druga jest ważniejsza.” - tak artysta rozumiał wagę niewidzialnego pierwiastka duchowego przy odbiorze prac.

W Toronto Głaz powraca do malarstwa, choć kanadyjski rynek sztuki go nie rozpieszcza. Dużo więcej ma wystaw i uznania w Europie i w Polsce niż w Kanadzie. W 1978 roku otrzymuje medal uznania na VII Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie. W 1989 roku ma miejsce duża wystawa w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Dyrektor muzeum, krytyk i historyk sztuki - Mariusz Hermansdorfer, wysoko ceniąc twórczość Głaza, zakupił dla muzeum ponad 500 prac artysty, tworząc tym samym największą kolekcję w Polsce. W 1991 roku artysta bierze udział w historycznej wystawie zbiorowej polskich plastyków mieszkających poza granicami Polski - „Jesteśmy” w Galerii

„Zachęta” w Warszawie. W 1996 roku obchodzi podwójny jubileusz – 65-tą rocznicę urodzin i 40- lecie pracy twórczej. Z tej okazji otrzymuje list gratulacyjny z Ministerstwa Kultury i Sztuki. W 1997 roku Głaz pokazuje swoje prace w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie. Wtedy to pokocha Kraków i będzie do niego wielokrotnie powracał planując zamieszkanie na stałe przy Rynku. W 2000 roku spotyka artystę największe wyróżnienie – ma indywidualną wystawę w warszawskiej „Zachęcie”. Tak opisze to we wspomnieniach : „Wylatywałem znad Jeziora Ontario 5 kwietnia, przy podmuchach jeszcze mroźnych wiatrów, by w Warszawie być witanym wczesną upalną wiosną. Dobrze pokazali w „Zachęcie” te duże, ciemne, nasycone obrazy i serie litografii z cyklu ezoterycznego. Warto było doczekać tej chwili. Poza zawodowym charakterem takich imprez, cenne są tu te związki ludzkie, jakie wiążą artystę i sztukę w danym czasie z jego pokoleniem. Ja czekałem na to 40 lat. Tyle było mi potrzeba, by do tej Mekki sztuki dotrzeć”,

Ze słów przebija satysfakcja i świadomość zmierzania przez całe twórcze życie w dobrą stronę. W tym samym roku Muzeum Narodowe we Wrocławiu pokazuje jego prace, a w 2001 roku artysta otrzymuje Nagrodę Prezydenta Wrocławia. Ten długi triumfalny korowód wystaw w kraju kończy „Istota Rzeczy” w Galerii El w Elblągu, zorganizowana w 2009 roku. Była to wyjątkowa wystawa ze względu na fakt, że w mieszczącej się w dawnym kościele galerii, obrazy Głaza zyskały najmocniejszy

akcent. Rozwieszane na ścianach z czerwonej cegły, obrazy zachwycały rygiem bizantyjskiego kanonu, tchnęły aurą tajemnicy, nastrojem kontemplacji i obecnością pierwiastka szeroko pojętego Sacrum. Po tej wystawie prace Kazimierza Głaza pozostały w Polsce, gdyż artysta szykował się do zamieszkania w Krakowie. Marzenie o Krakowie, które bardzo chciał zrealizować, przekreśliła choroba, każąc artyście pozostać w Toronto, co przyjmował ze spokojem i pokorą.

Kazimierz Gład konsekwentnie i wytrwale realizował model bizantyjski - sztukę o charakterze głęboko duchowym - artysta powiedziałby - sensybilistycznym. Twórczością swoją Gład zapisał osobną, ważną kartę powojennej historii sztuki, w której główną rolę odgrywa pierwiastek Sacrum w szerokim tego słowa znaczeniu. Prace Głaza na pewno na nowo odkryte zostaną przez przyszłe pokolenie, gdyż są uniwersalne i ponadczasowe w swoim dążeniu do Istoty Rzeczy czyli Istoty Istnienia.

Artysta zmarł w Toronto, 22 września, pochowany został w rodzinnych stronach, na podkarpaciu - w Borkach Nizińskich.

Zobacz też:

W poszukiwaniu piękna. Kazimierz Głaz.

Kosmiczna podróż Kazimierza Głaza (1931-2023)

Kosmiczna podróż Kazimierza Głaza (1931-2023)



Kazimierz Głaz (z lewej) i Krzysztof Kasprzyk, Elbląg 2009 r., fot. Krzysztof Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk (*Toronto, Sopot, Patagonia, cały świat*)

W pierwszym dniu jesieni, 23 września, z przejęciem śledziłem powrót na Ziemię kosmicznej sondy Osiris Rex, z próbkami z asteroidy Benu, krążącej gdzieś w niewiarygodnie dalekich głębiach Wszechświata, nie wiedząc, iż minęła się ona dzień wcześniej z ulatującą, ku owym niezmiernym głębiom, artystyczną duszą mego przyjaciela z Toronto, malarza i grafika, Kazimierza Głaza.

Wędrowka dusz, o której z Głazem nie raz rozmawialiśmy, wychodząc oczywiście od jego ulubionej sztuki bizantyjskiej, lecz

także zahaczając o egipski sennik, poglądy Zoroastrian, a najczęściej o wierzenia Pierwszych Narodów Kanady, zawierają ów *spiritual movement*, przejawiający się nie tyle i nie tylko po śmierci, ale przede wszystkim w życiu wielkich artystów, w ich duszach i ciałach. W ich wytrwałych i nieustannych poszukiwaniach ekspresji artystycznego wyrazu, interpretacji i przetwarzaniu rzeczywistości. Spotkania z panem Kazimierzem, bo do końca nie byliśmy na „ty” i owo zwracanie się do siebie per „Panie Kazimierzu” (ja często dodawałem „Drogi”, w domyśle „Bezcenny”) czy „Panie Krzysztofie”, były swoistym ceremoniałem. Każdorazowo stawały się uroczystością i wielkim zastrzykiem intelektualnej energii ku dalszym życiowym peregrynacjom.

Ciągnęły się latami (poznaliśmy się w 1987 roku) poprzez maile i długie telefoniczne rozmowy. Za wyjątkiem ostatniej, krótkiej, odbytej z początkiem czerwca tego roku w Toronto, gdy dotarło do mnie, że momentami jest on jakby już w innych rejonach. Jednak sędzę, że nie omylę się twierdząc, że czasami Głaz był o wiele wcześniej w innych rejonach, gdy nieobecny *TU*, wyłapywał *STAMTĄD*, hausty natchnienia i przemyśleń, co mu się nawet zdarzało w czasie spaceru ulicą.

I nasze niezapomniane rozmowy osobiste – gęste, intelektualne, przekorne; uwielbiał stawiać kontrę jakimś stwierdzeniom, by zaognić dyskusję i oświetlać różne punkty widzenia. Czasem się

ostro spieraliśmy o sztukę współczesną, której w wielu przejawach nie znoszę i nie uważam z racji jej pustego narcyzmu, efekciarstwa i wręcz marketingowych wymysłów. W jego domu na Roncesvalles, a potem dwukrotnie w małym, podniebnym mieszkanku w centrum Toronto, przy spotkaniach w restauracji „Polonez”, gdzie z zadowoleniem pałaszował pierogi lub przypadkowo, kiedy się natykaliśmy na siebie podczas zakupów w polskich sklepach, w byłej „polskiej dzielnicy” na Roncesvalles.



*Drzeworyt, który posłużył za projekt okładki książki
Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence” z 1985 r.*

Jednakże ostatnimi laty najczęściej spotykaliśmy się w kawiarni Starbucks przy głównej i znanej torontońskiej ulicy Yonge (kawiarnia już nie istnieje; po pandemii Yonge wygląda w wielu miejscach tak jakby ją wypruto – bankructwa). Trzykrotnie spotkaliśmy się w Polsce – na krakowskim Rynku, który Głaz wprost uwielbiał i na jego wystawie w Elblągu, kiedy postanowiłem, nic nie mówiąc, zrobić mu niespodziankę i się tam pojawić. W ostatnich latach nasze spotkania zakłóciły moje wielomiesięczne wyjazdy do Patagonii, następnie pandemia, a potem jego kłopoty zdrowotne i posunięty wiek.

W tej kawiarni na ulicy Yonge, mieliśmy długie, czasem dwugodzinne posiedzenia. Któregoś roku, a było to jeszcze przed pandemią, Głaz zdumiał mnie nagle mówiąc o ludziach, podążających reprezentacyjną ulicą Toronto: „Niech pan spojrzy. Ci ludzie – iluż bezdomnych. Alkoholicy i narkomani. Coraz większa ilość chorych psychicznie. Najlepszy kraj na świecie! Jestem poruszony i przerażony. Sygnał nadchodzącego końca”. Być może dlatego przestał tam chodzić na niemal codzienne zaleganie przy kawie, w wygodnych, klubowych fotelach.

Kiedys wzbudziliśmy tam ogólne zdziwienie, gdy w przyływie starczego zaniku pamięci nie mogliśmy sobie przypomnieć nazwy miasta w której mieszkał Marc Chagall i po parunastu minutach

jednocześnie doznaliśmy olśnienia, wykrzykując triumfalnie na cały głos „Witebsk”. Chagall był bardzo ważny w życiu Głaza, bo niejako otworzył mu drogę na Zachód, co finalnie skończyło się osiedleniem w Toronto. Chagall na IV Międzynarodowym Bienale Malarstwa w Paryżu zoczył prace Głaza i scedował na niego swoją Nagrodę Erazmusa, co umożliwiło panu Kazimierzowi trzyletni pobyt we Francji i wyrwanie się z coraz bardziej dusznych objęć PRL-u.

Owe prace, zatytułowane *Impresje moskiewskie*, były wysłane do Paryża po nagrodzie dla nich na Biennale Młodych w Sopocie, w 1965 roku. I jak tu nie wierzyć memu innemu, torontońskiemu przyjacielowi, Duke Redbird'owi, że nic w naszym życiu nie dzieje się przypadkiem. Dokładniej – dzieje się przypadkiem, ale za nim kryją się niemal zawsze inne sensy, które trzeba umieć odczytywać, a nadto mieć na nie wyczuloną wrażliwość. A ponieważ wierzę także w teorie zataczania kół Borgesa, bo często powracamy w te same miejsca; te wspomnienia Głazowe piszę w Sopocie, gdzie mieszkałem onegdaj przez 21 lat, półtora kilometra w linii prostej od mego byłego domu, w roku 2001 zaszedłem tam do dyrekcji Państwowej Galerii Sztuki, z pomysłem zorganizowania wystawy na 40 lecie debiutu Głaza. Wystawy jego wspaniałych gwaszy i prac z cyklu bizantyjskiego. Zaproponowałem również spotkanie literackie, bowiem publikował małe eseje i opowiadania, a Wydawnictwo Literackie w 1989 roku wydało jego książkę „Gombrowicz w Vence”.

Styl bycia Głaza i snutyh przez niego barwnych opowieści, to był styl umiejscowiony gdzieś pomiędzy Giedroyciem a Gombrowiczem. Wdzięk intelektualny i artystyczny z podkładem solidności i powagi, z domieszką ironii i dystansu do samego siebie oraz wyniesionej z PRL-u w młodych latach artystycznej zadziorności umiejętności sprytnego poruszania się w zastanej rzeczywistości. To się później nader przydało w Kanadzie, kiedy powołał do życia centrum sztuki – *Toronto Center for Contemporary Art*, której siedzibą był jego wynajęty dom na ulicy Roncesvalles. W Kanadzie u schyłku lat 60. zaczęło się mocne inwestowanie w kulturę i panowała wielka otwartość na pomysły w tej dziedzinie, a także znajdowały się pieniądze. Głaz szybko i umiejętnie wykorzystał owe otwierające się możliwości uzyskania dotacji i poprowadzenia dalszego życia, w nieoderwaniu od jego artystycznej działalności. Prowadził także od czasu do czasu zajęcia plastyczne w szkołach torontońskich oraz był profesorem rysunku i grafiki na Wydziale Sztuki Centralnej Szkoły Technicznej. I zabiegał o umieszczenie swoich prac w kanadyjskich centrach sztuki, a potem w wielu światowych muzeach sztuki współczesnej (m.in. Tokio, Nowy Jork, Sao Paulo).



Od lewej: Witold Gombrowicz, Jozef Jarema, Kazimierz Głaz. Zdjęcie zostało zrobione w Galerie Odile Harel w Vence, fot. arch. Kazimierza Głaza.

Ironię zaczerpnął Głaz od Gombrowicza, ową zachepliwość ku prowokowaniu dyskusji. Poznał się z Gombrowiczem jako 35-cio letni malarz, a Gombrowicz za malarstwem nie przepadał i uskuteczniał z zapałem swoje prowokacje. Głaz w Vence spotkał się także z Chagallem, Miro i Maxem Ernstem i wieloma innymi osobami, gdzie znalazł się w 1966 roku dzięki kolejnemu stypendium - z Fundacji Michael Karolyi. Dwuletni pobyt obrodził specjalnym cyklem prac, zatytułowanym *Vibrations du Midi*, w których starał się oddać swoje zafascynowanie południowym, śródziemnomorskim światłem. Uważam, że zdecydowanie była to kontynuacja jego skłonności do tworzenia prac w tematycznych cyklach, które zapoczątkowały *Impresje*

moskiewskie.

Był także nieustannie zafascynowany tamtym rejonem świata, gdzie często się z Toronto wyprawiał – Hiszpania, Portugalia, południowa Francja, Italia i Grecja, znając przy tym parę języków, co natychmiast ułatwia kontakt, a także pogłębia znajomości. Głaz mnie regularnie i bezlitośnie zawstydział moją niezajomością innych języków, w ostatnich latach szczególnie w odniesieniu do hiszpańskiego. Sam natomiast dokonywał nawet swoistych szarż, na przykład organizując na jakiejś greckiej wyspie wykład w lokalnej tawernie, na który w większości przybyli rybacy. Wykład był – a jakże – o geometrii bizantyjskiej po... grecku i jak sam powiedział „chyba nic nie rozumieli, ale wysłuchali i nagrodzili brawami”. Zapytałem nieco ironicznie – „Nie rozumieli z powodu pana języka greckiego?” „Ależ nie – odpowiedział z szelmowskim uśmiechem – z powodu geometrii”.

Sądziłem, że moja propozycja o wystawie i spotkaniu z tak wybitnym artystą, z szerokimi horyzontami i ciekawymi doświadczeniami, zostanie przyjęta w Sopocie z entuzjazmem. O ja naiwny! Już wtedy nie tylko zaczęła się choroba celebryctwa i podziałów opartych na układach, włącznie z politycznymi, ale przede wszystkim takie pojęcia jak intelekt czy artystyczne zainteresowania, zaczęły być natrętnym, zbędnym i niepotrzebnym balastem. Był to drugi okres eksplozji dorabiania się, po przeważnie bandyckich latach 90., a zdrowy snobizm u

bogaty, jeszcze się nie wykształcił. Zresztą do dziś. Po pierwsze, dyrektorowi galerii nazwisko i twórczość Głaza nic nie mówiły. Podobna sytuacja do tej, kiedy opowiadałem w Polsce o wybitnym pilocie z Kanady, Januszu Żurakowskim – trzepotanie rżęs i zakłopotanie – któż zacz... Wymieniliśmy maile, podałem dyrektorowi link do Głaza na Internecie, zobowiązałem się do aktywnej współorganizacji wystawy i spotkania, i zapadła cisza.

Gdy zwiedzałem, w kwietniu 2011 roku, muzeum sztuki współczesnej Guggenheim'a w Bilbao, pomyślałem, że jest to dobre miejsce na wystawę Głaza. Z sekretariatu muzeum otrzymałem adres mailowy i jeszcze z Polski nadesłałem im propozycję, wraz z załącznikami do prac pana Kazimierza. Różnica pomiędzy profesjonalnymi pracownikami i ludźmi w ogóle, w Hiszpanii a w Polsce, polega na tym, że po tygodniu dostałem z Bilbao odpowiedź, że dziękują za propozycję, przejrzeni ciekawe prace artysty, lecz mają plan wystaw opracowany na pięć lat z góry i może w odległej przyszłości będzie można coś zrobić. Formuła taka, jak i popularne „będziemy w kontakcie”, jest w świecie Zachodnim uprzejmą formą zbycia. Lecz człowiek nie czuje się ani natrętem, ani kimś zlekceważonym i zamiast zgrzytać zębami i parskać, nawet się pogodnie mości w sobie. To zasada podobna tej ze starego chińskiego powiedzenia: „Jak idziesz w górę, to się wszystkim kłaniaj, bo może będziesz wracał tą samą drogą”.







Kazimierz Głaz, Gwasze

*

Dwa lata później znów postanowiłem zaatakować sopocką galerię, nie czekając na okrągłe rocznice, a mając na uwadze inne wzmożenie w tamtym czasie - kościelne, bo Kościół zaczął rozpychać się energicznie w rzeczywistości, a ludzie, nie tak jak dzisiaj, cali byli wręcz rozmodleni i łaskawie patrzyli na sztukę związaną z sacrum. Pomyślałem, że będzie można zorganizować

wystawę wspólnie z czynnikami kościelnymi, no bo przecież forma i styl prac Głaza, nie raz były odczytywane jako kontynuacja tworzenia ikon (wobec tej interpretacji pan Kazimierz wytrwale protestował). Okazało się, że jest nowy dyrektor, ale uprzednia forma kontaktu, konkretnie olania go, była taka sama. Bo dla dyrektora, całkiem uprzejmego, moja obecność była pojawieniem się jeźdźca znikąd, a postać Głaza całkowicie enigmatyczna.

Być może zaszedł też odruch tak trafnie opisany przez Janusza Głowackiego - nie daj Boże Polakowi osiągnąć sukces za granicą, stać się kimś. I skomplikowany splot odniesień na linii Polak w Polsce i Polak poza Polską. To przecież żenujące, owo negatywnie podbarwione określenie „życie na obczyźnie”, kiedy ktoś doskonale podziela w sobie dwu- lub wielowątkowość, żyjąc w jakimś kraju, a nie tracąc kontaktu z Polską. Nic w tym obcego - ani tu, ani tam. Emigracji lub osiedleniu często przypisuje się charakterystyczne piętno społeczne i kulturowe. Z jednej strony zachwyty Wielką Emigracją i jej idealizowanie wraz z pewnym zakłamywaniem, z drugiej potępienie, oskarżanie o zdradę, a przede wszystkim wygodnictwo. Zostało to rozwinięte do monstrualnych rozmiarów w PRL-u, gdy wymazywano także wybitnych, głównie z kulturalnej mapy.

Na argument, że jego prace są w najlepszych muzeach i galeriach na świecie, brew dyrektorowi sopockiej galerii nie

drgnęła. Po latach przyznałem się panu Kazimierzowi do mych sopockich podchodów za jego plecami. Był wzruszony, ale rzekł krótko „Niech pan da sobie spokój, panie Krzysztofie. Nie warto”. Być może dlatego Głaz starannie sam zadbał o swój dorobek i w ostatnich latach zdołał umieścić go w Polsce, zdeponować w zaprzyjaźnionych miejscach, głównie w Chełmie i we Wrocławiu, gdzie studiował i gdzie opracował teorie sensybilizmu, a wraz z Michałem Jędrzejewskim zorganizował pierwszy happening artystyczny w Polsce, w roku 1957.

W Vence poznał także kanadyjską rodzinę, która spędzała tam wakacje. Córka tych państwa zadurzyła się w panu Kazimierzu, z wzajemnością, i ta rodzina zaproponowała i sponsorowała przyjazd Głaza do Kanady w 1968 roku. Wyjeżdżał chętnie z Francji, bo poza zakochaniem, niezbyt gustował w rewolcie młodych (Paryski Maj 68). Po przyjeździe do Toronto, umknął, jak mi opowiadał „ze złotej klatki”, bowiem okazało się, że rodzina mieszka w jednej z najbogatszych dzielnic Toronto – Rosedale (mieszkam w Toronto, 10 minut na piechotę od niej, czyli kolejne koło stykowe Borgesa...). Miał się o nic nie martwić, wszystko było do załatwienia i ułożenia i... i pan Kazimierz zerwał narzeczeństwo. To podobny heroizm do późniejszej decyzji, że nigdy w życiu nie będzie miał agenta dla organizacji wystaw i sprzedaży swoich prac.

Kanadyjska panna była śliczną dziewczyną. Wiem, bo raz w życiu

widziałem ją wiele lat później, w polskiej restauracji na Roncesvalles. Piękna, szycowna kobieta. To był ich wieloletni ceremoniał – Kazimierza i jej (nie przypominam sobie, by mi podał jej imię). Na każdorazową rocznicę poznania się, Głaz zapraszał ją na pierogi do „Poloneza”.



Kazimierz Głaz, Anioł Stróż, luty 2019 r.

Głaz żył samotnie, lecz nie będąc samotnym. To też charakterystyczne, że w języku polskim istnieje jedno określenie na ów stan. W angielskim dwa – *lonliness* i *solitude*. Można je

przetłumaczyć jako „samotność” i „być samotnym”. Bo są ludzie żyjący z kimś lub wieloma osobami pod jednym dachem i bywają wręcz przeraźliwie samotni. Głaz, podobnie jak ja, często podróżował samotnie. Obaj doszliśmy do tego samego wniosku – samotność podróżnika wzbudza zaciekawienie u tzw. lokalsów, ułatwia kontakt, skłania do życzliwości i pomocy dla nieco zagubionego przecież *foreigner, extranjero, straniero*...Lecz pod zasadniczym warunkiem – okazywania szacunku Innemu i uczenia się, a nie pouczenia.

Kolorowa indywidualność Kazia, jak go poufale nazywaliśmy w gronie znajomych, przejawiała się w rozlicznych anegdotach, sporej dozie humoru i inteligentnej przewrotności. Wszystko to już zaistniało w wymyślonym i stale przetwarzanym (sporo nowych dodatków w miarę odkrywania nowinek artystycznych i naukowych) sensybilizmie, który zawierał wszystkie teorie świata, włącznie z tymi, których jeszcze nie odkryto.

Nie zapomnę z jakim rozbawieniem przyjął pan Kazimierz mój pozorowany zarzut, że w schemacie sensybilizmu nie uwzględnił jakże ważnego wynalazku, a mianowicie destylacji alkoholu. To słowo pochodzenia arabskiego (powszechnie wprowadzone dopiero od wieku XVI) – al- kuhl lub al-ghoul (może od niego pochodzi wyraz charakterystyczny dla przełykania „gul -gul”, a także „golnąć” sobie...) oznaczające drobny proszek, a także złego ducha. Ów „zły duch” wkroczył szerokim frontem w

destylacje wina (też ponoć wymyślona przez Arabów), głównie w Hiszpanii, Portugalii i Francji w wieku VIII, gdy Maurowie zasiedlali półwysep Iberyjski. Alkoholu używano najpierw jako środka leczniczego i dla przedłużania życia (sic!), nazywając go „eliksirem leczenia” lub „porywającą wodą”.

Ta woda porywała mnie kiedyś rzeczywiście regularnie, na rozlicznych wernisażach w Gdańsku, Sopocie, Warszawie, Berlinie i Toronto, gdy raczyłem się ulubionym czerwonym winem, które według mnie ułatwiało przyswajanie prac artystycznych, a przede wszystkim kontakt z twórcą i publicznością. W Toronto doszło do tego, że po paru latach pewien dyrektor galerii sztuki, Zbigniew P., przestał mnie powiadamiać o wernisażach. Gdy się dziwiłem czemuż tak o mnie zapomniano, właśnie Głaz mi to zdradził. Na me pytanie, dlaczego nie dostaje już zaproszeń na wernisaże, powiedział, że o to samo zapytał dyrektora galerii i usłyszał „bo wypija za dużo wina”.



Kazimierz Głaz, Kraków 2010 r., fot. Krzysztof Kasprzyk

A propos wystaw. Było dla mnie wielkim zaszczytem i jeszcze większą przyjemnością dwukrotnie pomagać panu Kazimierzowi w przygotowywaniu jego wystaw w Galerii Pekao w Toronto. Przy trzeciej wystawie, z roku 1989, nawet zostałem dopuszczony do aranżowania jego prac w przestrzeni – wyjątków z cyklu litografii *Approach III-Esoteric* i *The Power of Silence* oraz wspaniałych gwaszy z serii *The Essence*. Dzieła pana Kazimierza przyciągały mnie i wprost poruszały swoją niesamowitą kolorystyką, ich proporcją takiego dobierania, że odnosiło się wrażenie doskonałości – wszystko było na swoim miejscu, włącznie z emanującym z nich spokojem. Ten spokój z kolei był niejako uzyskany z zasady geometrii bizantyjskiej, w której Głaz nie tylko gustował, ale wręcz był w niej zakochany. Zasada trójstronnego podziału obrazu, najczęściej pod łukami i

wewnętrznej ramy, co wielu osobom i krytykom kojarzyło się z ikoną. Tego odniesienia pan Kazimierz wprost nie znosił, protestując, że to nie są współczesne ikony, ale właśnie zaczerpnięcie formy z głębin sztuki bizantyjskiej.

Nadto był zwolennikiem, zarówno w malarstwie, jak i pisaniu krótkich opowiadań, kojarzenia elementów najczęściej na zasadzie – z dwóch pozornie nieprzystających elementów, tworzy się trzeci, który wszystko dopełnia lub kreuje nowe pola interpretacji. Dlatego tak bardzo był zachwycony filmem „Babel” Alejandro Iñárritu, twórcy innego wspaniałego filmu „Zjawa”.

Bizancjum to było rozpięcie pomiędzy Wschodem a Zachodem, coś co nie raz napiętnowało nie tylko polskich artystów, lecz także wielu emigrantów i osiedleńców. Bizancjum – miks antyku (rzymskie tradycje, greckie zasady sztuki) z wczesnym Średniowieczem, naznaczonym wpływami nowej religii – chrześcijaństwa (stąd wspaniałe ikony). Jednakże wielu badaczy uważa, że Bizantyjczycy odeszli od greckiego kanonu sztuki – naśladowania rzeczywistości, wzbogaceni o duchowy, tajemniczy i przejmująco mistyczny wpływ Wschodu. Jeszcze inni twierdzą, że utracili zdolność odwzorowywania natury w sztuce. „Dziś raczej skłaniamy się ku sądowi, że sztuka bizantyjska oddaje specyficzną cechę całej kultury – przekonanie o nierozzerwalnym przenikaniu się światów wiecznego – Boskiego – oraz tymczasowego – ludzkiego. Tej skomplikowanej obecności Boga i

jego świętych w życiu ludzi, nie można było wyrazić poprzez kopiowanie natury. Dla Bizantyjczyków prawdziwy, realny sens rzeczywistości przekraczał porządek naturalny” [cytat za <https://zpe.gov.pl/a/kultura-i-religia-bizancjum-miedzy-wschodem-a-zachodem/Dm1Gvy82B>]



Rozmowa: Św. Mikołaj Cudotworec i Kazimierz Głaz. fot. Adam Krzemieniewski, Tretiakowska Galeria, Moskwa 1962 r., arch. Kazimierza Głaza.

W takim oto duchu się poruszał i w takiej oto materii działał Głaz, a pierwszym impulsem, w połączeniu z artystycznym

zachwytem, była w 1962 roku wizyta w Moskwie i Petersburgu (wtedy w Leningradzie), gdzie zobaczył w Galerii Tretiakowskiej ikonę Mikołaja Cudotwórcy i szereg innych. Co za przewrotna ironia, której Głaz nie raz hołdował – w komunistycznym, totalitarnym kraju, pełnym przedziwnych „zombies” żyjących tam do dzisiaj i gustujących w zapomnieniu i oszołomieniu wódczanego „złego ducha”, doznał duchowego i artystycznego olśnienia, będącego w kosmicznej niemal odległości od wywyższonej i wytrwale kaleczonej materii.

Sensybilizm już wtedy mocno w nim kiełkował. Wiele lat później, kiedy owa teoria się upowszechniła, a jego elementy w dalszym ciągu były nader tajemnicze, powiedział: „Sensybilizm, ze względu na nazwę, też wydawał się powstać za granicą, mimo, że tak naprawdę pochodził z górniczego Wałbrzycha, gdzie przez parę lat mieszkałem”. I dodawał „Próbowałem wyjaśnić, jako twórca tego kierunku, wartość i znaczenie tego słowa – czyli pierwszego polskiego kierunku artystycznego, który bez zakazów i nakazów co malować i jak malować, odwoływał się jedynie do inteligencji twórców”.

Wyjaśnianie – to był zachwycający, przemiły i nadzwyczaj cierpliwy odruch Głaza, esencja jego charakteru. Potrafił na swoich wystawach, widząc zakłopotanie ludzi i problem z rozgryzieniem esencji jego dzieł, podejść do takiej osoby, nawiązać rozmowę i wytłumaczyć owe jakby nieodcyfrowalne

elementy. Pamiętam ludzi, którzy po takim mini wykładzie rozjaśniali się wewnątrz, mieli wrażenie, że nie tylko doznali olśnienia, ale że artysta, twórca, poświęcił im parę minut, właśnie im, by objaśnić zawiłe arkania sztuki.

Lecz Kazio był także figlarzem. Kiedyś na jednej z wystaw zbiorowych polskich twórców z Toronto, postanowił pomóc jakiejś pani, która stała przed obrazem w niemym zdumieniu i pomieszaniu. Nawiązał z nią rozmowę, wyłuszczył zasady sztuki i odsłonił w dość rozległym i dogłębnym wyjaśnieniu wnętrza owego obrazu. Na koniec zapytał ją, czy już teraz rozumie, na co kobieta zareagowała wręcz entuzjastycznie. Pożegnaliśmy się z nią odchodząc na bok. Po paru minutach zauważyliśmy, że stoi z paroma osobami przed kolejnym obrazem i o czymś tam zawzięcie peroruje. „Panie Krzysztofie” – rzekł nader dostojnym tonem Głaz – „niech pan po cichu tam podejdzie. Bo usłyszy pan to co ja jej przed chwilą mówiłem i co naprędce wymyśliłem”. I tak było.



Kazimierz Głaz Toronto 2017 Canada

SENSYBILISM

Kazimierz Głaz

Kiedyś odwiedziłem go w pracowni-domu na Roncesvalles i spędziłem tam cztery godziny, wodzony przez Głaza po zakamarkach jego sztuki. Był człowiekiem, który uświadomił mi i pokazał, ile jest rodzajów czerni. Moje płaskie widzenie czerni zmieniło się diametralnie. Dowiedziałem się także, że zbiera stare drzwi z ulicy, bo w swych zdobieniach (prostokąty lub kwadraty) miały już formy geometryczne. Zagruntowywał je i potem na nich malował.

Tu przepyszna anegdota. Ponieważ Głaz nigdy w życiu nie

pracował na stały etat i był panem swego czasu, stale zabiegał o różne dotacje, stypendia i tym podobne synekury. Kiedyś dowiedział się, że leżąca w sąsiedztwie parafia polska św. Kazimierza chce ufundować stypendium polskiemu twórcy. Pan Kazimierz złożył podanie i czekał. Stypendium nie dostał i potem dowiedział się, że jakaś gorliwa parafianka zaproponowała, twierdząc, że ten pan nic nie robi tylko stale siedzi w oknie i wszyscy to widzą, gdy przechodzą koło jego domu na ulicy Roncesvalles. Tak, rzeczywiście często można było zobaczyć profil Głaza w narożnym, wykuszowym oknie na piętrze. Siedział tam czekając aż podeschnie zagruntowanie kolejnego obrazu lub nabierał sił do następnego etapu malowania.

Jedną część jego, jakże bogatego życiorysu, była mi nieznana. W zamieszczonym w Internecie pożegnaniu go przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu, znalazłem informację, że był także filantropem. I trafne podsumowanie jego wspaniałej sztuki: „Dążył do syntezy formy, próbował dotrzeć do istoty rzeczy na drodze poznania, odrzucając wszystko co zbędne. Jego kontemplacyjne, pulsujące zanurzonym w świetle kolorem kompozycje (obrazy, grafiki) emanują niezwykłą atmosferą tajemnicy i spokoju”.

Jeśli w ostatnich latach życia Głaz cierpiał, bo na przykład nie mógł już latać samolotem do swego ukochanego Krakowa i posiedzieć na Rynku z przyjaciółmi lub nawiązać – a czynił to

niezwykle łatwo – nowych znajomości, często z młodymi ludźmi; jeśli dokuczała mu starość i trapiące go choroby, w tym takie, które uniemożliwiły mu malowanie, to zyskał ten, jakże potrzebny i kojący, spokój.

Atmosfera tajemnicy pozostała, bo lepszego, w pełni sensorylistycznego zdarzenia, nikt by nie wymyślił. Minięcie się Głaza w kosmicznej przestrzeni z powracającą triumfalnie kosmiczną sondą, która przywiozła na Ziemię cząstkę tajemnicy powstawania Wszechświata. Wciąż otwartego na nasze zgłębianie, a także interpretacje.

Kopiowanie fotografii bez zgody redakcji zabronione.

Zobacz też:

Wystawa prac Kazimierza Głaza w Muzeum Uniwersyteckim w Toruniu

Kazimierz Głaz. Gwasze.

Święty Mikołaj - Cudotworec

Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla

Prawo sensorybilizmu

„To potężne dzieło sztuki” - powód malowanych gratulacji.

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza w Vence
we Francji

Sensybilizm. Sens i non-sens.

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

Schody Hiszpańskie. Opowiadanie sensybilistyczne.

W poszukiwaniu piękna. Kazimierz Głaz.

Prawo sensybilizmu



Drzeworyt, który posłużył za projekt okładki książki Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence” z 1985 r.

Kazimierz Głaz (*Toronto*)

A jednak... „Gombrowicz w Vence” (to tytuł mojej wspomnieniowej książki). Dom, w którym wynajmował drugie piętro, w tym południowym miasteczku, decyzją dwóch rządów i paru ministrów kultury został zamieniony na Muzeum Witolda Gombrowicza. Willa Alexandrina, dwupiętrowa kamienica, pobudowana kiedyś w centrum miasta przez francuskiego

krawca, zwana później „Pałacem” zamieniła się, jakby magicznie, w polsko-francuskie muzeum, więcej niż muzeum, międzynarodowy dom kultury. Były lokator nie myślał pewnie o takiej metamorfozie, chociaż to mianowanie na „Pałac” miało ten zwykły dom jakoś wyróżnić, by usprawiedliwić prawo do mówienia, zapewne sarkastycznie, „całe życie mieszkałem w pałacach”.

W zakończeniu mojego opowiadania o tamtych czasach i ludziach, skromnie proponowałem Ricie, wdowie po pisarzu, by dom ten wykupić i zamienić w muzeum literatury, co już wtedy wydawało się dokonane. Dokonało się mimo, że zajęło to pół wieku. Dobrze być świadkiem takich wydarzeń.

Z tego wydarzenia pojawiły się uboczne skutki. Jakiś czas temu (2017) otrzymałem wiadomość z Monachium, z redakcji bardzo znanego wydawnictwa literackiego zwanego „Akzente”, w którym, jak wyjaśniała redaktorka po angielsku, pisywali znakomici pisarze niemiecy. W e-mailu dołączone było kilkunasturowe tłumaczenie mojego opowiadania z Vence, z zapytaniem czy się zgadzam na druk w ich piśmie, i że płacą 20 EUR od strony. Zgodziłem się oczywiście, ale przypomniało mi to, że za wydanie w Wydawnictwie Literackim w Krakowie, płacili przed denominacją w milionach. Nakład 30 tysięcy ładnie wydanych egzemplarzy, 30 lat temu.

Gombrowicz w Vence

Kiedyś w latach 70. próbowałem podrywać ładną dziewczynę w Dzielenicy Łacińskiej w Paryżu. Szło opornie, ale kiedy wymieniliśmy nasze pochodzenie po francusku, że ona z Niemiec i studiuje humanistykę, a ja z Polski i... nie dokończyłem wyjaśnienia.

- To skoro jesteś Polakiem, to na pewno znasz Gombrowicza, zapytała, a raczej stwierdziła podchwytliwie studentka z Heildelbergu.

- Nie tylko znam, ale jestem jego studentem, bowiem jestem z Vence.

- Taaak? zapytała podniecona i bardziej przyjazna. Poszliśmy na kawę i dzięki temu opowiadałem jej o tym przez trzy dni i trzy noce.

Bratanek pisarza

W autobusie do Rimini siedział obok mnie jakiś student amerykański. Rozmawialiśmy tak, jak to w podróży, skąd jesteśmy i dokąd jedziemy. Był pierwszy raz w Europie i we Włoszech. Gubił się w tych zabytkach i sztuce, Tyle tego, że nie był w stanie zapamiętać, mimo, że jego rodzina była, jak mówił, z

Europy. Pocieszałem go, że mu pomogę, bo jestem Europejczykiem i artystą.

Dojechalismy do ładnego, pełnego zbytków miasta. Na placyku kręciło się pełno uczniów z sąsiedniego liceum. Przerwa obiadowa. Zawołałem paru na rozmowę. Chciałem mojemu amerykańskiemu studentowi pokazać, że Włosi też się „nie łapią” w tych zabytkach.

- *Di che stile architettonico è questo palazzo* (w jakim stylu jest ten pałac) - pytam tego bardziej rozmownego po włosku. - A co to znaczy? - pyta zdziwiony.

- *Il cretino* - krzyczy drugi - *questo no es un stile, es un banco!* (Kretynie, to nie jest żaden styl, to jest bank). Rzeczywiście na budynku widniał napis *Banco Italiano*.

Mój amerykański student był zadowolony. Okazało się, że miejscowi Włosi też się gubią. Wymieniliśmy na pożegnanie e-maile i adresy. Okazało się, że nazywa się Thomas Mann.

- Mann? - zapytałem zdziwiony, - Tomasz? Tego Manna z Niemiec?

- Tak, bratanek pisarza - odpowiedział skromnie. Zostaliśmy na jakiś czas w kontakcie emailowym. Toteż zapewnienie, że w

„Akzente” pisywał tamten Tomasz Mann uznałem za konsekwencje prawa sensybilizmu, który kilka lat wcześniej wymyśliłem w Wałbrzychu.

Ingeborg Bachmann

Też drukowała w „Akzente”. A jednak. Tu uboczne skutki wiążą się znowu z Gombrowiczem. Była bliską przyjaciółką naszego bohatera. Podziwiała go prywatnie i publicznie, do tego stopnia, że podobno zmieniła swoje imię na Witolda. Mówił o tym opowiadając Mrozkowi na pytanie skąd ma takie dobre pióro.

- To od Witoldy.

Spotkanie

Jadąc kiedyś przez Berlin miałem niezwykle spotkanie z polecenia Gombrowicza. List żelazny. Pozdrowienia i możliwy kontakt z Instytutem Sztuki, gdzie była ważna osoba. Możliwość załatwienia mojej wystawy w Berlinie. Spotkanie było wyjątkowo sympatyczne i pełne emocji. Musiałem wiele opowiadać o Witoldzie i o Vence.

Szkoda, że mojego „Gombrowicza w Vence” napisałem dużo później nie zdając sobie sprawy, że będzie tłumaczone na niemiecki. (Tłumaczyła Marta Kijowska).

Zobacz też:

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza w Vence
we Francji

Święty Mikołaj - Cudotworec

Gombromania po niemiecku

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

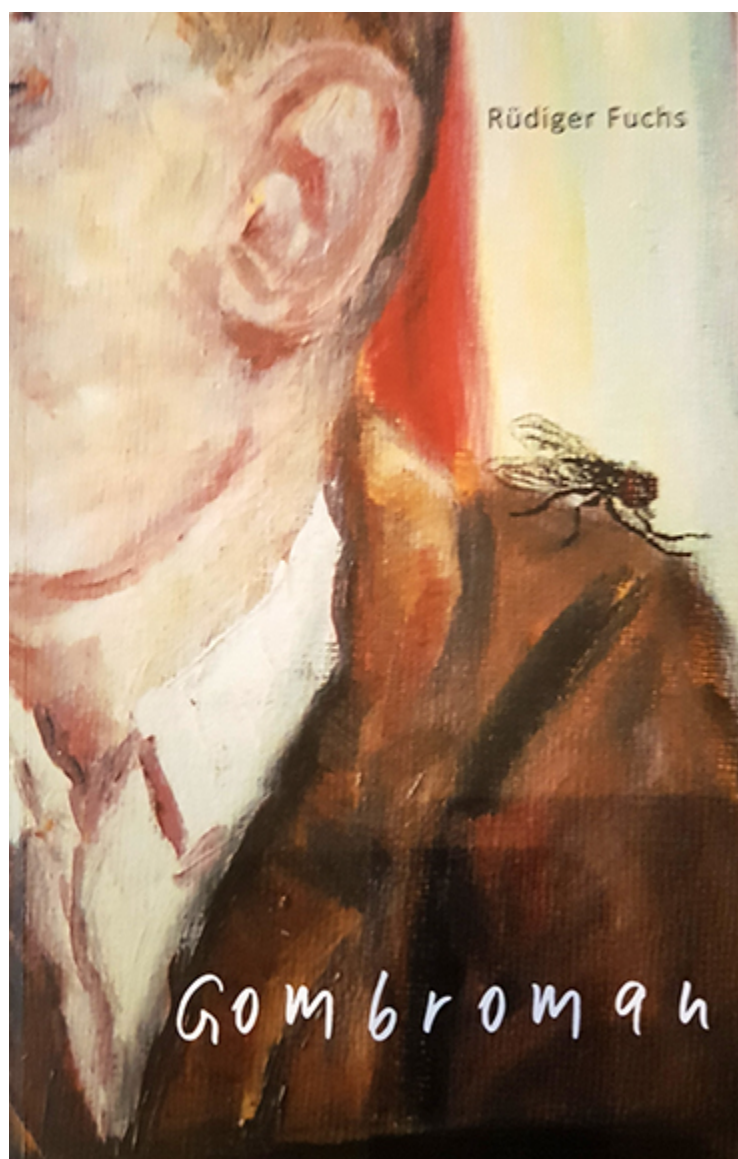


Rüdiger Fuchs podczas spotkania autorskiego w 2018 roku, fot. Reiner Mních.

Pojęcie „Gombroman”, może oznaczać zarówno maniakalnego wielbiciela twórczości Witolda Gombrowicza, jak i powieść o nim (niem. Roman). Owym wielbicielem okazał się niemiecki pisarz Rüdiger Fuchs, który wyraził swoje uznanie dla polskiego kolegi w formie literackiej. W rezultacie powstała powieść poszukiwawcza, nie tylko jeśli chodzi o ślady Gombrowicza, ale i wspólne cechy stylu pisania oraz eksperymentalne zabawy z formą i treścią. Mamy tam wątek podróżny, erotyczny, sensacyjny, „powieść w powieści”, powieść filozoficzną i epistolarną. Obok postaci autentycznych występują fikcyjne. A

wszystko kręci się wokół Gombrowicza.

Rüdiger Fuchs podróżuje po miejscach związanych z pisarzem, nazywając je Gombro-Orte. Odwiedza Warszawę, Gdańsk, skąd twórca odpłynął z Polski na zawsze oraz Berlin Zachodni, gdzie przebywał na stypendium, podczas gdy w Polsce trwała nagonka przeciw niemu, rozpętana przez komunistyczne władze. Jada w tych samych restauracjach, pija kawę w tych samych kawiarniach co jego idol, buszuje w polskich i zagranicznych księgarniach i antykwariatach w poszukiwaniu jego utworów. Za najcenniejsze uważa znalezione na You Tube nagranie „Dzienników” oraz wywiadu z Gombrowiczem w języku francuskim, jakiego udzielił rozgłośni Radia Wolna Europa po otrzymaniu Międzynarodowej Nagrody Wydawców Prix Formentor (1967). Widząc, jak zawrotne ceny osiągają dzieła Gombrowicza w internecie, komentuje to jako „Ferdyschurke” (Ferdy-łajdactwo) i „Unfair-dydurke”. Nabywa argentyńskie wydanie „Ślubu” (El Casamiento) z autografem pisarza za 140 euro, a jakiś czas później widzi taki sam egzemplarz na jednej ze stron amerykańskich za 1419 euro. Cieszy go widok plakatów teatralnych z dramatami Gombrowicza w Sofii, Nicei, Bazylei i we Freiburgu. W Rostoku, rodzinnym mieście Fuchsa, nie wystawiano dotąd sztuk Gombrowicza, zresztą do 1990 r. było to niemożliwe. W NRD wydano tylko drukiem „Ferdydurke” w 1984 r. i „Trans-Atlantyk” w 1988 r.



Okładka książki

Przebywając w Vence, gdzie polski pisarz zakończył życie, Fuchs nie tylko odwiedza jego grób na cmentarzu. Prosi przypadkowo spotkane osoby o wypełnienie sformułowanej przez siebie ankiety na temat znajomości twórczości Gombrowicza. Efekty są zaskakujące; niektórzy nie słyszeli o nim wcale, inni owszem, przyznają, że taki pisarz mieszkał tu, był chory i zmarł. Zdarzają się jednak tacy, którzy dokładnie wiedzą, o kogo chodzi. W książce wspomniane są też opinie innych niemieckich pisarzy o

Gombrowiczu, np. Güntherowi Grassowi podobało się „Ferdydurke”.

Fuchs umiejscawia swoją wędrówkę śladami artysty na tle bieżących wydarzeń społeczno-politycznych. Wspomina o pomysle ministra Giertycha, który chciał usunąć dzieła Gombrowicza z kanonu lektur szkolnych jako antywychowawcze, o pamiętnych Mistrzostwach Europy w piłce nożnej 2008, kiedy Łukasz Podolski strzelił nam dwie bramki, o odbiorze filmu „Katyń” Andrzeja Wajdy przez polską i niemiecką publiczność, pisze też o katastrofie smoleńskiej 2010. Zwraca uwagę, że rok wejścia Polski do UE (2004), był także rokiem Gombrowicza.

Witold Gombrowicz wyśmiewał bez skrupułów niektóre nasze wady narodowe. Rüdiger Fuchs pokazuje w krzywym zwierciadle pewne przejawy stereotypowego myślenia Niemców o Polakach, którzy nadal często widzą w nas złodziei samochodów. Porównuje stosunek do miłości ojczyzny w wydaniu obu nacji. W Niemczech uchodzi za podejrzane kochać swój kraj i otwarcie przyznawać się do tego; w Polsce podejrzane jest nie kochać własnego kraju.

Opis wędrówki po śladach Gombrowicza przeplata się z fragmentami fikcyjnej powieści o naukowcu Goldbachu, entomologu zajmującym się badaniem funkcji życiowych much, który próbuje zrozumieć i zapisać język tych owadów. Związek

ten nie jest przypadkowy, bo mucha pojawia się w twórczości Gombrowicza stosunkowo często. Dodajmy, że Goldbach też jest zafascynowany autorem „Ferdydurke”.

Znane z „Ferdydurke” symbole, takie jak „gęba”, czy „pupa” są łatwe do przetłumaczenia na niemiecki, z innymi pojęciami Rüdiger Fuchs też nie ma większych problemów. „Pojedynek na miny” to „Grimassenwettstreit”, a „przymus formy” - „Zwang zur Form”. W niektórych polskich słowach dają się zauważyć literówki. Autor konsekwentnie pisze „Marzałkowska” zamiast „Marszałkowska”, albo używa litery **i** zamiast **j** np. w słowie „wygraj”. Ale i tak należy mu się podziw za to, że opanował nasz język. Próbuje też analizować etymologiczne pochodzenie nazwiska „Gombrowicz”.



Rüdiger Fuchs podczas spotkania autorskiego w 2018 roku, fot. Reiner Mních.

Lektura książki nie należy do najłatwiejszych. Niektóre fragmenty czyta się szybko i z rozbawieniem, przy innych trzeba się skupić. Autor przyznaje, że powieść można czytać zarówno od początku do końca, jak i na wrywki. „Gombroman” na pewno nie jest książką dla wszystkich, ale niekoniecznie tylko dla filologów. Wystarczy dobra znajomość twórczości Gombrowicza i języka niemieckiego, a lektura powieści dostarczy wielu ciekawych wrażeń. Książka ukazała się nakładem wydawnictwa „Charlatan” w Rostoku. Tam wydawane są także zeszyty literackie „Gombrowicz-Blätter”. Można zapoznać się z ich

treścią także online na stronie:

www.gombrowicz-blaetter.eu

Z okazji przypadającej w tym roku 50-tej rocznicy śmierci pisarza, wielbiciele jego twórczości organizują spotkanie we Fryburgu Szwajcarskim, które odbędzie się 18 października 2019 o godz. 18:30 w tamtejszej Bibliotece Kantońskiej. Gospodarzem wieczoru będzie niemiecki slawista, germanista i tłumacz literacki profesor Rolf Fieguth, któremu zawdzięczamy niemieckojęzyczną wersję „Trans-Atlantyku”, a w gronie prelegentów znajdzie się m. in. Rüdiger Fuchs. Spodziewany jest także przyjazd Rity Gombrowicz.

Przestrzeń Muzealna

Witolda Gombrowicza w Vence we Francji



Witold Gombrowicz na balkonie willei Alexandrine w Vence, fot. materiały prasowe.

Kazimierz Głaz (*Toronto*)

Świat w tym roku obchodzi rocznicę wielkiego wydarzenia - 50-tą rocznicę lądowania człowieka na księżycu oraz 50-tą rocznicę

śmierci polskiego pisarza, Witolda Gombrowicza, który zmarł w małym historycznym miasteczku Vence, na południu Francji. (*W. Gombrowicz zm. 24 lipca 1969 r., przyp. red.*).

W Vence, w willi Alexandrine, w której w latach 1964-1969 Witold Gombrowicz mieszkał z żoną Ritą, 23 września 2017 roku została otwarta Przestrzeń Muzealna poświęcona jednemu z najważniejszych polskich pisarzy XX wieku, autorowi „Ferdydurke”. Otwarcia dokonała Rita Gombrowicz, żona pisarza.

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza została utworzona ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Prace konserwatorskie w willi Alexandrine przeprowadziło Towarzystwo Przyjaciół Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie ze środków Programu Ministra, Ochrona Dziedzictwa Kulturowego za Granicą. Konserwacją elementów malarskich willi zajmowało się ponad trzydziestu polskich artystów przez kilka miesięcy.

Willa z 1911 r. w stylu *belle epoque* została zakupiona przez miasto Vence w roku 1988. Niegdyś była uznawana za perłę architektury, nieodnawiana przez lata, popadła w zaniechanie. W 2017 r. remont przeprowadziły władze miasta Vence.

To tu, w tym pałacu, jak zwykł mówić pisarz, mieszkający na drugim piętrze, gdzie było pięć balkonów i pięć wspaniałych widoków oraz sufity malowane w różyczki, miały miejsce wydarzenia o historycznym dziś znaczeniu.

Opublikowane ostatnio w tym internetowym magazynie moje wspomnienie o historii jednego z niewielu autentyków, czyli o obrazie nazwanym potężnym dziełem sztuki wywołało spore zainteresowanie, ale też podejrzenie o nieskromność malarza. Potrzebne jest wyjaśnienie skąd to się wzięło. A było tak.

Kiedy Gombrowicz razem z Ritą przyjechali do mojej pracowni w Fundacji Michaela Karolyi, gdzie mieszkałem przez trzy lata dzięki mojej znajomości języka węgierskiego, by wybrać obraz do odnowionego mieszkania, w czasie oglądania wywiązała się typowa rozmowa o sztuce i obrazach/

- Obrazy są dobre do zakrywania dziur w ścianie, powiedział żartobliwie i prowokująco.

- Ha, ha , to w takim razie nie dam nic. Pana ściany, po remoncie są czyste i nie potrzeba niczego zakrywać.

- O, widzę, że przesadziłem, to potężne dzieła sztuki powiedział patetycznie i zamachał rękami pokazując, które wybiera, a Rita zabierała je już do samochodu. Stąd pochodzi to „potężne dzieło sztuki”, użyte później w moim liście gratulacyjnym.

Moje zapiski z tamtych czasów miały być drukowane w wydawnictwie Ossolineum we Wrocławiu. Przeleżały tam zapomniane osiem lat. Takie były czasy i trzeba było dobrych

przypadków i zmian politycznych by trafiły do Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Wydano je w 30 tysiącach egzemplarzy wraz ze znanymi książkami pisarza w 1985 r. Było to w pewnym sensie takie miejscowe lądowanie Gombrowicza w księżycowym klimacie.

Toronto, 20 .7. 2019.



Okładka książki Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence”, 1985 r.

Kazimierz Głaz o Witoldzie Gombrowiczu:

<https://www.cultureave.com/to-potezne-dzielo-sztuki-powod-malowanych-gratulacji/>

„To potężne dzieło sztuki” – powód malowanych gratulacji.



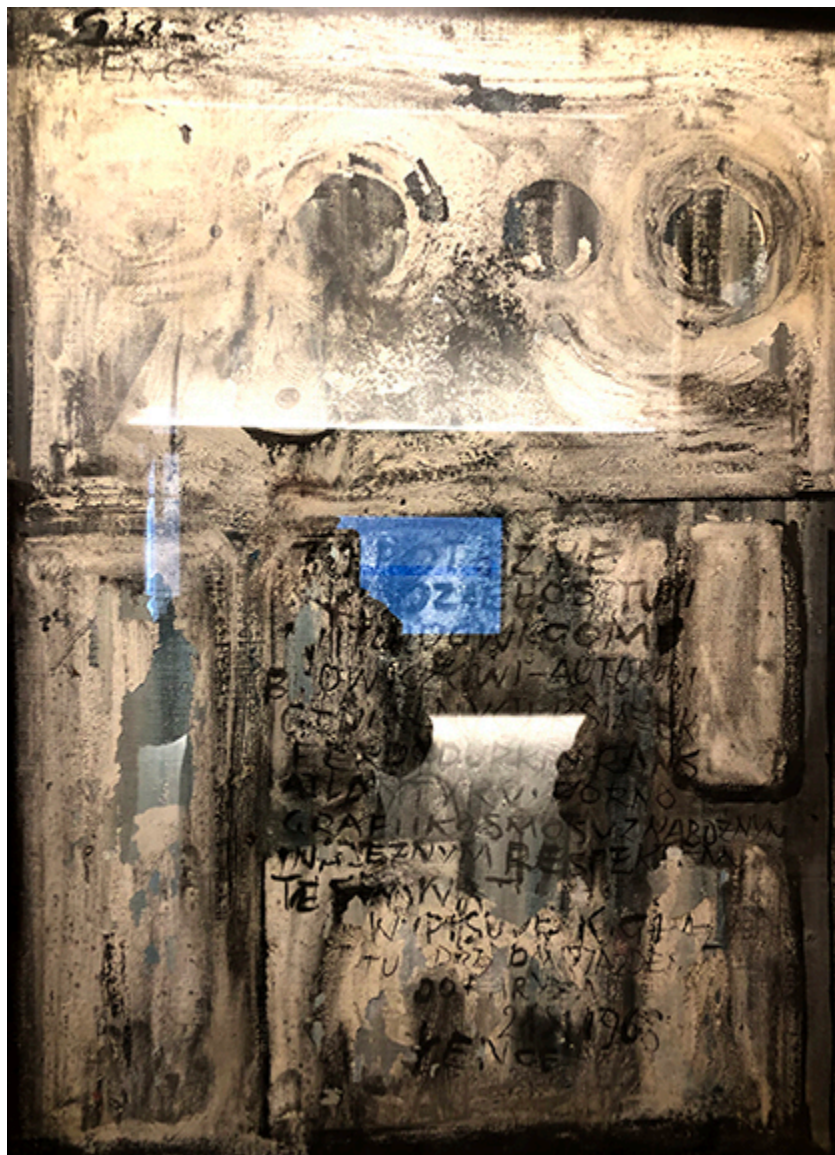
Od lewej: Witold Gombrowicz, Jozef Jarema, Kazimierz Głaz. Zdjęcie zostało zrobione w Galerie Odile Harel w Vence, fot. arch. K. Głaza.

Kazimierz Głaz (*Toronto*)

Krytyczne i żartobliwe nastawienie Gombrowicza do artystów malarzy było znane z jego „Dzienników” i kontaktów osobistych. Na przykład jego pytanie „dlaczego malarze muszą zawsze pisać dużymi literami i na dużych formatach”? Toteż moje malowane gratulacje z okazji przyznanej mu nagrody Formentera, przed nominacją do Nobla, były jakby odpowiedzią na te znane nam tematy. Znalazłem dużą płytę mejsonatową u znajomego stolarza i po małym przygotowaniu powierzchni napisałem pędzlem hołdowniczy tekst, domalowując resztę tła w abstrakcyjnym układzie, żeby to był właśnie list-obraz. Poprosiłem Ritę o podwiezienie tego telegramu samochodem do jego „palacu”. Gombrowicz tak zwykł nazywać Willę Alexandrina. Byłem przy

odbiorze. Pisarz był zadowolony i jeszcze bardziej żartobliwie komentował ten dar zwany „Homage a un grand ecrivain”. Wybrał też miejsce do powieszenia. Wisi tam do dziś. Obecnie jest to Muzeum Witolda Gombrowicza w Vence. Stąd to „potężne dzieło sztuki” w tytule zachowało się jako dokument z tamtych historycznych czasów.

Toronto, maj 2019 r.



Kazimierz Głaz, obraz w holdzie Witoldowi Gombrowiczowi, Muzeum w Vence.

Kopiowanie bez zgody redakcji zabronione.

Ach ci poeci!



Florian Śmieja

Witold Gombrowicz w swoim "Dzienniku" napomknął, że go źle czytam. Widocznie uważał, że powinienem obrać inną metodę. Zrobię to, jak czas pozwoli. Pisał do mnie w sprawie tłumacza, któryby potrafił przekładać jego teksty na język hiszpański. Próbowałem mu pomóc, ale nie wiem, czy ostatecznie z moich sugestii skorzystał.

Wymieniając kiedyś współczesnych polskich prozaików, którzy równocześnie byli autorami dobrych wierszy, otrzymałem list od **Józefa Wittlina** z Nowego Jorku, bym o nim nie zapomniał, bo i on należał do tej kategorii. Nie tylko o nim pamiętałem, ale nawet odwiedziłem jeszcze znalazłszy się na amerykańskim kontynencie.

Wisławę Szymborską poznałem w redakcji "Tygodnika Powszechnego". Kiedy wszedłem do pokoju Jerzego Turowicza, zastałem go z poetką, która akurat zdawała relację z podróży do Niemiec, gdzie odebrała nagrodę Goethego. Wręczyłem jej emaliowy znaczek w postaci miniaturowej kanadyjskiej flagi. Kiedy wysłałem jej artykuł z przełożonymi na język hiszpański jej dwoma wierszami z gazety kolumbijskiej, otrzymałem charakterystyczną kartkę z ryżym kotem i podziękowaniem. Teraz kot pilnuje mojego depozytu w Bibliotece Uniwersytetu w Rzeszowie.

Zaproszenie **Czesława Miłosza** do Londynu przez naszą grupę młodych poetów spotkało się z protestem przeciwników

politycznych z **Zygmuntem Nowakowskim** na czele. To on w felietonie w "Dzienniku Polskim" z 3 października 1957 roku napisał

To pewna, że odczyt nie powinien odbyć się w gmachu, przyozdobionym sztandarami wojska polskiego. Trzeba ten gmach wykadzić.

Jako redaktor miesięcznika, który Miłosza zaprosił napisałem wtedy list do "Dziennika Polskiego". List się ukazał mimo, że Nowakowski był jednym z dyrektorów dziennika, a list nie był elegancki.

Atoli trzy lata po incydencie z Miłoszem, Nowakowski napisał felieton *Kula u nogi?* Był to błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji polszczyzna była dla nas najwłaściwsza, czy nie należało się od niej uwolnić i przyłgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez moment nie wątpił, że jednak zwycięży język polski.

Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosi się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej, tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

I zakończył:

A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

